

ROBERT MAGILL.

PONGO. (HUMORESKA).

Nie rozumiem dlaczego uczeni nie wynaleźli dotychczas metody oczyszczania psa na sucho, zamiast kąpienia go.

Pongo naogół lubi wodę. Niebo wyobraża sobie prawdopodobnie jako wielki staw, w który aniołowie po całych dniach wrzucają laski, ażeby on (Pongo) mógł je z wody wydobywać.

A mimo to — kiedy spostrzeże, że układam sobie rękawy i szukam mydła, wnet klusuje na swoje posłanie, kładzie się z zamkniętymi oczyma w nadziei prawdopodobnie, że kota zamiast niego wykąpie.

Pongo jest bardzo inteligentnym psem. Moja żona jednak twierdzi, że wcale a wcale inteligentnym nie jest, podając jako dowód to, że mnie lubi.

Nasz pies uważa mnie za jakąś mieszani-
nę Rudolfa Valentino i Goethego. Nigdy takim złym wzrokiem na mnie nie patrzy, jak moja żona, kiedy filiżankę kawy przewróci, ani też nie myśli o mnie z takim wyrzutem, jak moja mała córeczka za to, że nie strzygę uszami, jak on.

Kiedy mówię, że Pongo jest moim psem, myślę naprawdę, iż do mojej żony należy — kiedy jest grzeczny.

Skoro jednak ugryzie listonosza, lub inną jakąś nieobyczajność popełni, o, to wówczas do mnie należy!

Należy również i wtedy do mnie, kiedy go trzeba wykąpać.

Zaczynamy zwykle od tego, że wlewamy nieco ciepłej wody do wanny w kąpielowym pokoju.

Nalewamy też jej trochę na podłogę obok wanny; jeżeli jednakże uda się nam ściereczką kałużę przykryć, nim żoneczka zobaczy, to nic nie szkodzi.

Uzbroiwszy się w ręcznik i kawałek mydła — podchodzę do Pongo.

Za każdym razem tłumaczę mu, że to nie boli, ale on mi nigdy nie wierzy i patrzy na mnie tak błagalnym wzrokiem, jak gdyby prosił o zachloroformowanie go.

Tak się zawsze składa, że się absolutnie ruszyć nie może i muszę go do łazienki zanieść, gdzie już zazwyczaj sam do wanny wskakuje, a wtedy musimy czekać, aż się znów woda zagrzeje, bo ta, co była w wannie od stóp do głów mnie obryzgała.

Potem trzeba Pongo całego mydłem namydlić, przyczem moje psisko tak drży, że ja mydło z ręki wypuszczam. On wówczas siada na nie i niema mydła!

Ale ja ten jego trick znam oddawna i dlatego mam zawsze w zapasie drugi kawałek mydła. Podczas kiedy lewą ręką staram się pierwszy kawałek z pod Ponga wydobyć, prawą sięgam po drugi, leżący na podłodze.

Pongo, myśląc, że siadam na ziemi, aby się z nim bawić, wyskakuje z wanny i kręci się wokół mnie, poszczekując radośnie. Kiedy go złapać się staram, znajduję mego psa, całego pianą z mydła pokrytego i brudem, który zdołał na siebie zgarnąć, w salonie na najładniejszej z naszych jedwabnych poduszek.

Kiedy się powtórnie w łazience znajdujemy, Pongo patrząc na mnie, załośnię wzdycha, podczas kiedy ja go znów najstaranniej w świecie namydlam.

Nigdy nie śpiewa w kąpeli, jak ja.
Skomli.

Dobrze go namydlić jest łatwo. Najgorsza sprawa, kiedy chcę z mydła Ponga oczyścić. Mydło tak się w sierść wkleja, jak gdyby to był gips.

Całe godziny na tem trawię i jedyna moja pociecha, że Pongo nie ma długiej sierści — jest bowiem ostrzyżony.

Ostatnia robota, to osuszenie Ponga. Ale żona moja wzdraga się kategorycznie trzymać go przy tej operacji, dlatego przedewszystkiem, że on się otrzasa i wówczas nie jego, a żonę muszę najprzód osuszać.

Wogóle zdaje mi się, że psa niesposób osuszyć. Jest jak gąbka. Im więcej nacieram, tem jakgdyby więcej wody z niego wychodziło. Robię jednakże co mogę, poczem sadzam go niedaleko pieca w łazience.

Ale Ponga honor jest obrażony. Wychodzi przeto i wszystkie inne psy śmieją się zeń, że jest taki czysty.

Pongo wszakże nic sobie z innych psów nie robi — nie zwraca najmniejszej uwagi na nie. Jest za dumny na to, aby z nimi po ziemi się tarzać.

On wybiera dużą i głęboką kałużę z gęstem, miłym błotkiem.

Kiedy w godzinę po kąpeli wraca z podwórza, wygląda zupełnie tak samo, jak przed kąpielą i równie pięknie pachnie.

Nic nie szkodzi.

Ale żona moja nie prędzej pozwoli go ponownie kąpać, aż zapomni o jedwabnej poduszce w salonie, podłodze w łazience i suficie łazienki u ludzi pod nami mieszkających.

Zresztą, kiedy przyjdzie pora, że Pongo znówu trzeba będzie wykąpać, niech się zana tem zajmie.

Ja wychodzę z domu.

Thum. Jotsaw.



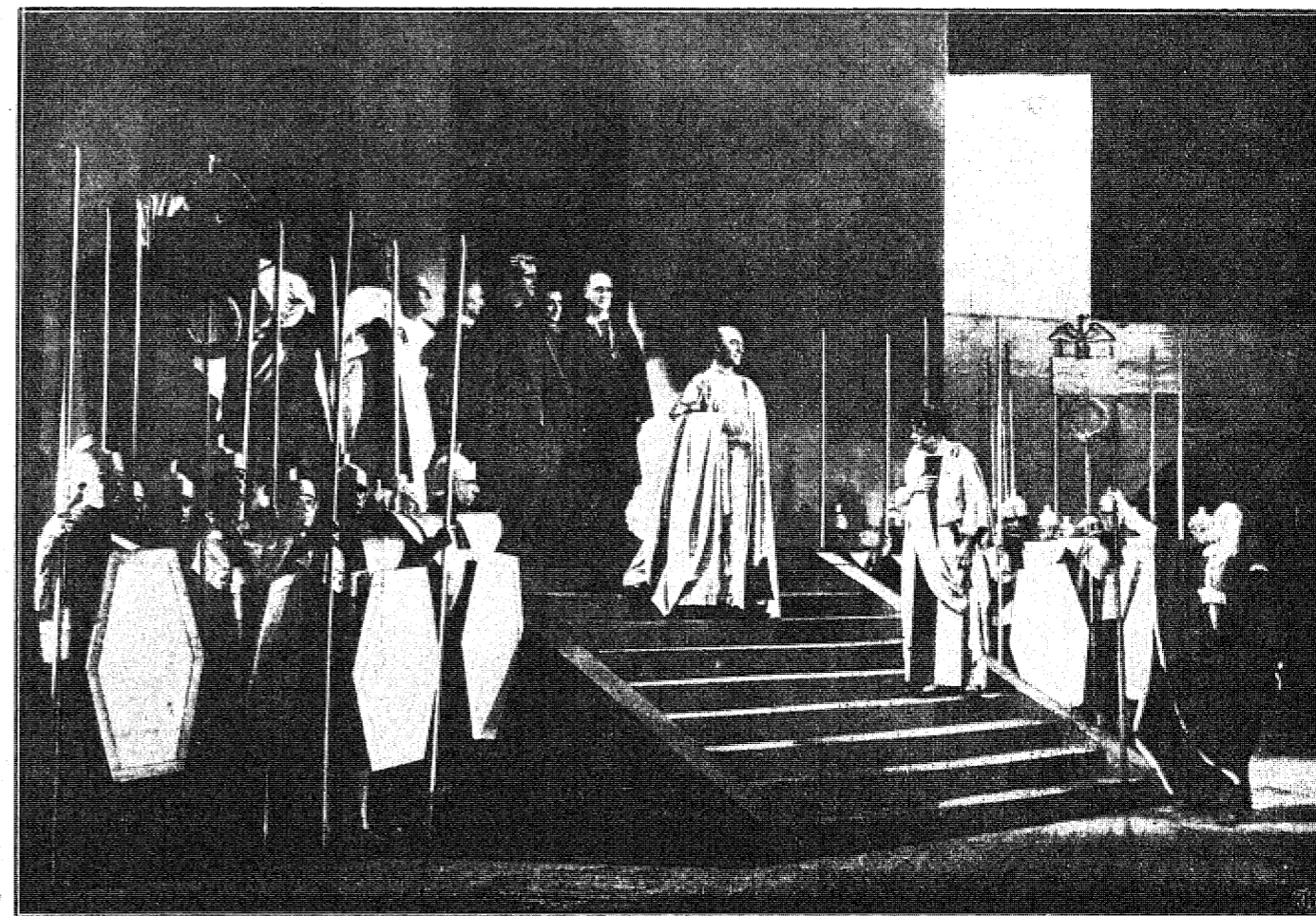
DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

Rok V.

Łódź, dnia 12 lutego 1928 roku.

Nr 7.

„Juljusz Cezar” w Teatrze Polskim w Warszawie.



Teatr Polski w Warszawie wystawił ostatnio lotężne dzieło Szekspira p. n. „Juljusz Cezar” w nowej inscenizacji z Junoszą-Stępowskim w roli głównej. Na zdjęciu fragment sceny pierwszej, w której wieszcz przestrzega Cezara przed grożącym mu niebezpieczeństwem.

Nieśwież, ogólny widok na zamek.

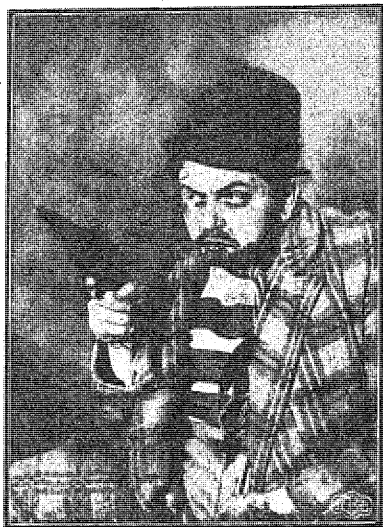
TEATRALIA.

Premjery warszawskie. — Objawy pocieszające. — Jubileusz Molnara. — Ze scen włoskich.

Bohaterem dnia w Warszawie jest niewątpliwie znany komedjo-pisarz — Stefan Kiedrzyński, który aż dwie premjery ujrzał w ubiegłym tygodniu na scenach stołecznych. Kiedrzyński, popularny i w łódzkim teatralnym świecie, należy do najgłośniejszych autorów scenicznych młodszej generacji, a niejedna z jego kilkunastu komedji obiegła z wielkim powodzeniem niemal wszystkie teatry polskie. Poczucie sceny, humor zawsze żywy o satyrycznej nieco tendencji, trafność obserwacji współczesnych typów i dzisiejszego życia — oto najgłośniejsze zalety pisarskie Kiedrzyńskiego, którymi bez zawodu potrafi sobie zawsze jednać serca publiczności.

W wystawionej na scenie Teatru Malesgo najnowszej komedji „Powrót do grzechu“ jest Kiedrzyński w całej pełni samym sobą. Wszystko, co stanowi treść tego niewątpliwego, błyskotliwego talentu, mamy tu jak na dłoni, więc z pewnością i ta komedja osiągnie — wzorem poprzedniczek — długotrwałe powodzenie. Tym razem sięgnął Kiedrzyński do środowiska małopolskiego i stamtąd wyłowił szereg figurek bardzo prawdziwych i zabawnych w trochę karykaturalnym skrzywieniu. W „Powrocie do grzechu“ jest wiele sytuacyjnych niespodzianek, ożywających doskonale akcję. Sama zresztą teza komedji jest w swoim rodzaju — niespodzianka, chodzi bowiem o przeprowadzenie dowodu prawdy, iż w życiu bywa inaczej, niż w konwencjonalnych powieściach i utworach scenicznych: że, mianowicie, cnota może być wystrychnięta na dudka i pozostać bez należytej nagrody, natomiast zatrumfować może i nagrodę otrzymać — coś zupełnie przeciwnego, np. jakiś hulaj, gwiazdzący sobie na wszystko i wolny od balastu skrupułów sumienia. Czy motyw tego rodzaju jest sam w sobie sympatyczny — to sprawa inna, nad którą dzisiejsza przytępiona naogół wrażliwość etyczna zastanawiać się długo nie będzie. Faktem jest, że komedja Kiedrzyńskiego zrobiona jest bardzo dobrze i z punktu widzenia ściśle teatralnego prócz pewnej dłużyzny w niektórych dialogach nic jej zarzucić nie można. Miłośny kwartet (nie tercet): starego doktora, młodej i ślicznej jego żony, małopolskiego fotografa oraz wielkomięskiego łobuza — posiada wszystkie partie napisane z zacięciem i wesoło. Szopka ta na tle prowincjonalnych dekoracji autorskich kręci się zajmująco zabawić widza bez trudu potrafi — o cóż więc jeszcze chodzićby mogło w takiej scenicznej bałatce?... Chyba o nic, zwłaszcza, że wykonawcy stoją na wysokości zadania, i pp. Malicka, Czaplinska, Stanisławski, Węgierko, Bogusiński, Grabowski — dzielą z autorem sukcesy.

Omówienie drugiej premjery Kiedrzyńskiego, wystawionej w „Teatrze Narodowym“ „Romansu Florenckiego“, odkładamy



Fragment trzeciego aktu komedji Kazimierza Wroczyńskiego p. n. „Aby żyć“, wystawionej przez Teatr Miejski w Łodzi.

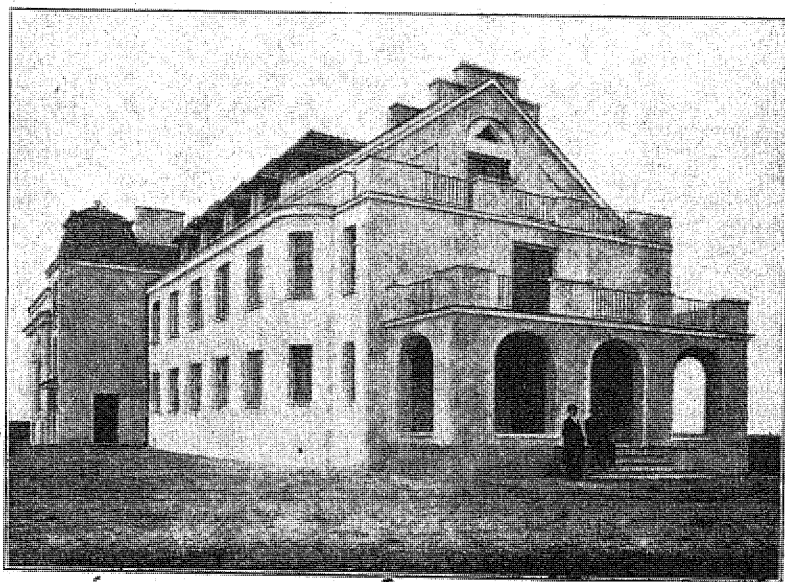
do najbliższej kroniki, pragnąc poświęcić nieco więcej miejsca tej dość odrębnej w tonie i nastroju sztuce autora „Powrotu do grzechu“.

Eksperymentu, zasługującego na uwagę i uznanie dokonał bardzo ruchliwy Teatr Praski, wystawiając młodzieńczy utwór Juliusza Słowackiego, obraz historyczny z czasów pogafstwa litewskiego, pod tytułem — „Mindowe“. Oczywiście — chwalebne wysiłki dyrekcji, pragnącej ożywić rumieńcem teatralnych świateł bardzo jeszcze niedoskonały — choć moszacy zarodki ogromnych możliwości — dramat Słowackiego, nie mogły przynieść zbyt daleko idących wyników, tem bardziej, że i niedostateczność rozporządzalnych sił aktorskich stała się w tym wypadku, jako nasuwającym szczególne wymagania, bardzo widoczną. Mimo te wszystkie jednak zastrze-

nia — wielkość poetyckiej koncepcji i gigantyczny zakrój dusz bohaterów, tkwiące w „Mindowym“, nie pozostają bez wpływu na usposobienie widowni, sącąc ze sceny blask nie łójówki, ale pochodni, rozświetlającej nieznaną zwykłym „zjadaczom chleba“ dziedzinę.

Znany krytyk p. Adam Grzymała-Siedlecki zwrócił z zadowoleniem uwagę na pocieszający objaw wybitnego spolszczenia repertuaru teatrów stołecznych, zaznaczający się w ostatnich miesiącach. Teatry warszawskie nie tylko grają już od dłuższego czasu sztuki prawie wyłącznie polskie, ale co jest niemniej ważne — sztuki te cieszą się powodzeniem, idąc po kilkadziesiąt razy przy zapelnionej widowni. Gorzej jest — jak słusznie podkreśla p. Siedlecki — z teatrami prowincjonalnymi, ale i tu — zdaniem naszym — stwierdzić wypada znaczna w porównaniu z niedawną jeszcze przeszłością poprawa. Swoje interesujące uwagi kończy p. Siedlecki bardzo słuszną apostrofą pod adresem autorów polskich: „Wywalczono dla was, panowie, prawo obywatelstwa, tak niedawno jeszcze kwestjonowane na scenach stołecznych. Maluczko, a twórczość polska nie będzie mogła już mówić: Nie rozwijam się, bo nie mam się gdzie zapowiadać. Teatry was grają, teatry was poszukują — na was i tylko na was spoczywa więc obowiązek takiej sztuki polskiej rozkwitu, aby z nią konfrontowano zagranicą twórczość zagraniczną. Sztuki polskie powinny być dobre...“.

Jeden z najpopularniejszych w całym świecie teatralnym autorów, pisarz węgierski — Franciszek Molnar, obchodził w tych dniach pięćdziesiąt rocznicę swych urodzin. Pomimo tych lat bynajmniej jeszcze nieopodeszłych, Molnar cieszy się na wszystkich scenach Europy i Ameryki wielkim rozgłosem. Obecnie przebywa w St. Zjednoczonych, gdzie wystawia swoją sztukę p. t. „Liliom“. Na prośbę prezydenta Coolidge'a Molnar wygłosił w uniwersyte-



Dom artystów scen polskich w Skolimowie.

Książę Karnawał w Łodzi.



W dniu 2 lutego r. b. w salonach Filharmonji odbył się doroczny bal młodych prawników, zorganizowany pod protektoratem prezesa Sądu Okręgowego p. St. Bełżyńskiego. Na zdjęciu widzimy grupę uczestników balu.



Grupa uczestników balu Polskiego Związku Pracowników Kasy Chorych.



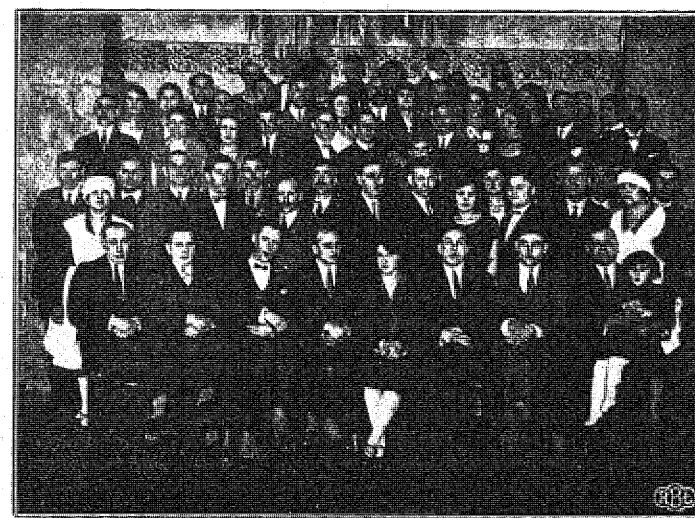
Uczestnicy balu kolonii rosyjskiej w Łodzi.



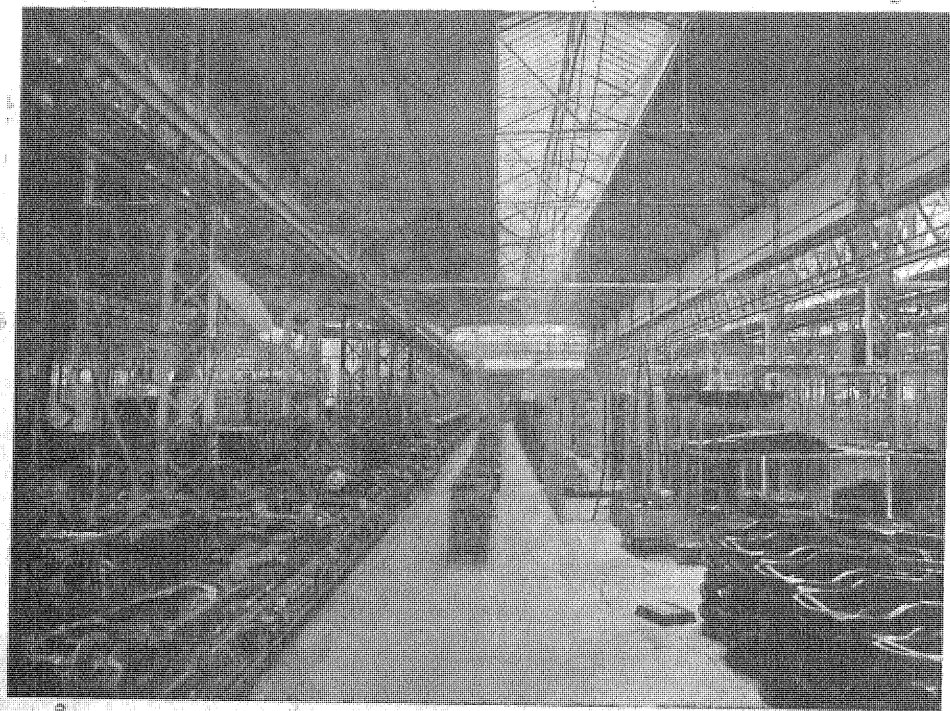
Bal kostjumowy członków Związku Handlowców Polskich w sali przy ul. Piotrkowskiej 108.

cie „Columbia“ prelekcję teatralną, która wywołała wielkie zainteresowanie. Polska zna bardzo dobrze twórczość Molnara, a sztuki jego, jak „Djabeł“, „Oficer gwardji“, „Karnawał“, „Czerwony młyn“ i inne — przyjmowane były przez naszą publiczność z uznaniem i zajęciem.

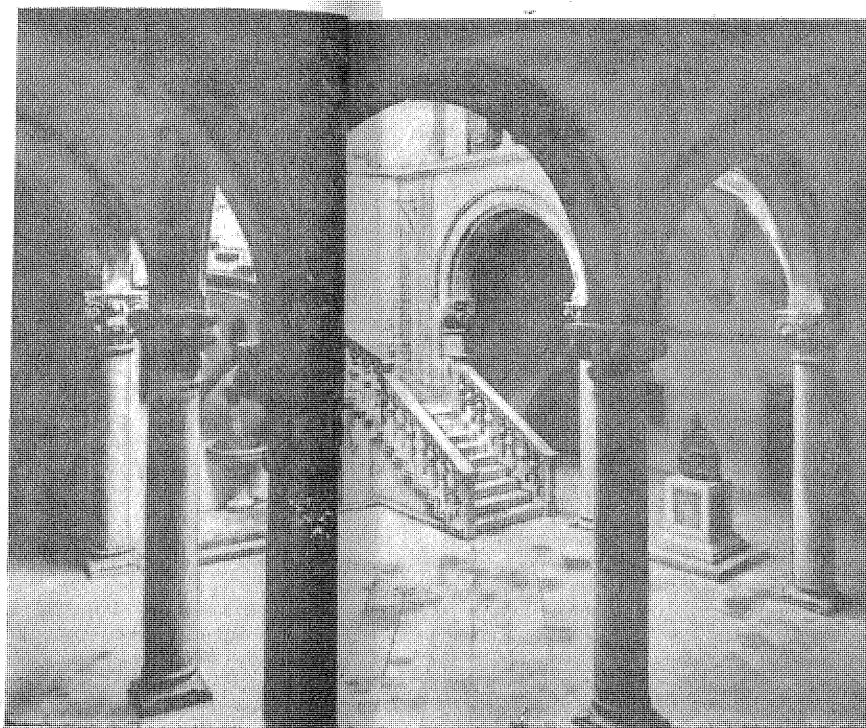
W rzymskim teatrze „Valle“ trupa Tadjany Pawłowej odegrała przeróbkę ze słynnej powieści Dostojewskiego p. t. „Zbrodnia i kara“. Przeróbki dokonał w swoim czasie teatr Stanisławskiego w Moskwie; ma ona 4 obrazy, połączone recytacją odpowiednich fragmentów powieści. Jeden z najgwałtowniejszych prowodyrów faszystwu, Farinacci, napisał sztukę p. t. „Odkupienie“, którą odegrano w tych dniach w teatrze w Cremonie. Sztuka ma, oczywiście, za temat rewolucję faszystowską i jej dla Italji znaczenie. **Delta.**



Pierwszy tradycyjny „opłatek“ Związku Młodej Pracującej „Jedność“ w Łodzi. Na zdjęciu grupa członków z zarządem związku na czele. **Fot. A. Meyer.**



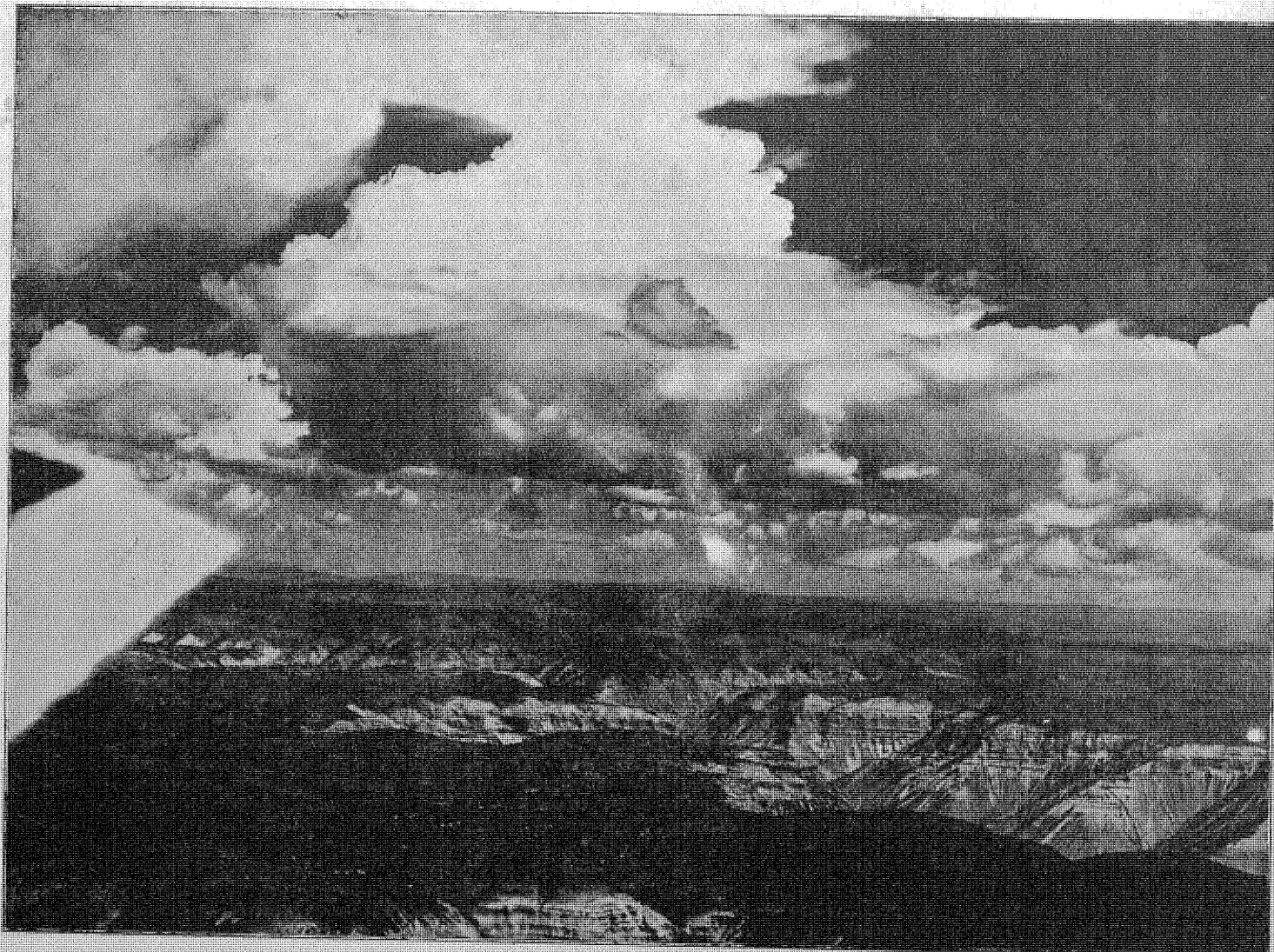
Jedna z olbrzymich hal fabryki samochodów firmy „Citroen“ w Paryżu.



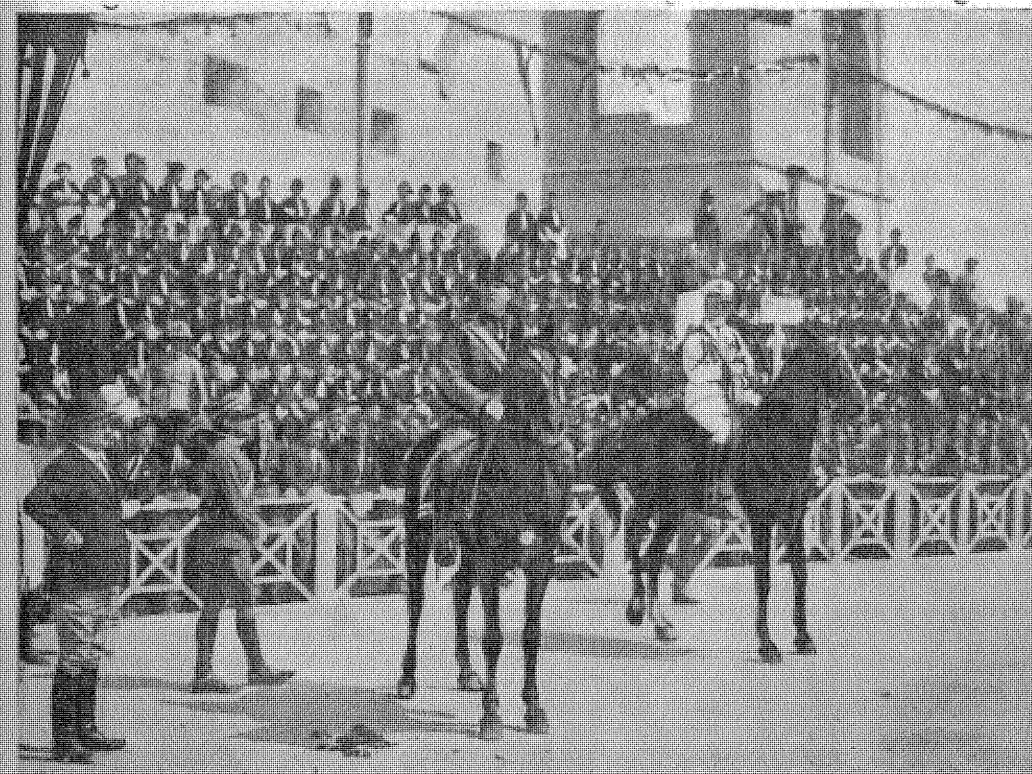
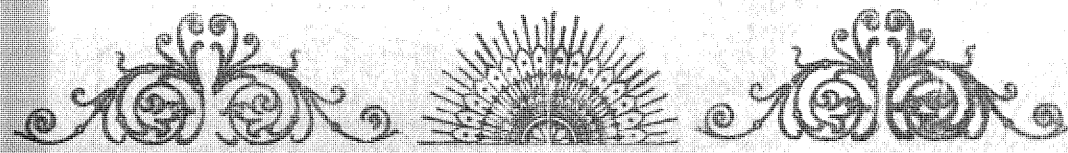
Wnętrze starożytnego pałacu królewskiego w Sztokholmie.



Piękne malowidło fińskie, wyobrażające dawne polowanie na zwierzynę.



Nad brzegami rzeki Colorado.



Dyktator Włoch, Mussolini, na wielkim stadionie sportowym w Rzymie, witany entuzjastycznie przez zgromadzone tłumy publiczności.



Charlie Chaplin w karykaturze.



Pola Negri.



Marja Górczyńska z filmu „Mogiła Nieznanego Żołnierza”.



Marjusz Maszyński, niezapomniany „król”.



Kazimierz Krukowski, filar „Qui Pro Quo”



Zespół artystów sceny Teatru Miejskiego w Łodzi w bieżącym sezonie z dyrektorem teatru p. Bolesławem Górczyńskim na czele.



Znakomity artysta filmowy Douglas Fairbanks w „Czarnym Piracie”.



Minister spraw zagranicznych Rzplitej Polskiej, p. August Zaleski.

Tajemniczy fakt.

Po zawieszeniu rewolucyjnej, gdy paryskie towarzystwo zeszło się ponownie na paryskim bruku, wypłynęła na widownię kobieta, która podawała się za córkę zmarłego bankiera Savalette de Langes.

Ów bankier paryski — wysoce ceniona przez króla osobistość, której głowa w okresie rewolucji leżała już niemal na gilotynie ponieważ pożyczył ów bankier hrabiemu Arbois pięć milionów na umożliwienie mu ucieczki, ocalał jednak dzięki przypadkowi tylko. Wycofał się później z paryskiego życia i umarł bez echa, nie pozostawiając majątku. Jedyną swą córkę Jenny, skoro wybuchły zamieszki rewolucji wysłał zagranicę.

Wyjechała ona w towarzystwie pewnej markizy. Obecnie zaś zjawiała się nagle w Paryżu, jako dojrzała już kobieta. Nie posiadając żadnych papierów, udało się jej uzyskać małą pensję ze skarbu państwa oraz wstęp do arystokratycznych domów. Salony księżnej La Rochefoucauld, marszałkowej Macdonaldowej i innych arystokratek stały dla niej otworem.

Savalette otaczał pewnego rodzaju nimb, aureola, jakkolwiek nie była piękna. Portret jej z 1858 roku przedstawia starszą, chudą, suchą nawet kobietę, o niedającym się przeniknąć wyrazie twarzy, długim nosem, mocno zaciśniętych ustach z dwoma dużymi lokami po obu stronach wysokiego czoła i śnieżno białą krezą wokół twarzy. Na głowie nosiła stale okrągły, pod brodą związany kapeluszek.

Taką ją widziano na ulicach Paryża, zawsze poszukującą mieszkania lub pozostającą na usługach innych.

Nie był to nadzwyczajny portret, portret taki, któryby można ze spokojem zawieźć w salonach. Czar, który wywierała i fascynująca władza, którą posiadała nad innymi, musiał przecież od jej sposobu istnienia zależeć.

Jako podarunki przyjmowała najchętniej cienką bieliznę i jedwabne suknie. Zamieszkiwała w kilku maleńkich pokojkach. Do mieszkania swego nie wpuszczała nikogo, sama sobie usługując.

Nazywano ją ogólnie „mon cher arge” albo „dobrą Savalette”. Była dwa razy zaręczona i zawsze w ostatniej chwili przed ślubem marzeczony krewił. Przypisywano to jej ubóstwu, które nie szło w parze z dużymi wymaganiami.

Drugi jej narzeczony, oficer inanterji de Laciépère, mocno zadłużony, po szesnastolatniem narzeczeństwie, dla niezbadanych przyczyn odebrał sobie życie.

Savalette miała opinię uczciwej kobiety, której przyjaciele jedno tylko zarzucali, że stale zmieniała mieszkanie.

Rzadko kiedy mieszkała w jednym domu dłużej, niż dwa miesiące. Raz tylko wy-

trwała od 1824 do 1832 r. na jednym miejscu — w zamku Versailles.

Życie prowadziła skromne, uczęszczając zrana do kościoła, popołudnie zaś spędzając w salonach swych arystokratycznych przyjaciół.

Nagle utraciła jednak łaski. Przesztano ją przyjmować w towarzystwach. Po Paryżu poczęły bowiem obiegać pogłoski o ciemnej jej przeszłości, na skutek czego odwrócono się od Savalette.

Z trudem udało się jej osiedlić w Versailles, gdzie znaleziono ją pewnego dnia martwą przed łóżkiem w długiej nocnej koszuli z czepkiem nasuniętym na twarz. Doktor stwierdził atak sercowy. Dwie sąsiadki, które się podjęły dokonania tualety pośmiertnej, wydały okrzyk przerażenia: nieboszczka była mężczyzną...

Sąd, doktorzy, policja skonstatowali fakt, że kobieta ta była nieznanym mężczyzną, który nosił imię i nazwisko Jenny de Savalette. Nic ponadto o nim nie wiadomo...

Został pochowany na koszt państwa za dwa franki pięćdziesiąt, jak stwierdzają dokumenty. Mieszkanie, w którym odbył się ostatni akt tego misterjum, składało się z sypialni o jedwabnem krytych, przez mole zniszczonych meblach w stylu Ludwika XV i szerokiem pościelaniem łóżku, z małą jadalnią i ciemnej jak piwnica kuchenką, pełnej potłuczonych naczyń, szkła i kufrów, nabitych jedwabnymi sukniemi, wachlarzami, eleganckiem obuwiem oraz... listami miłosnymi!

Jeden z kufrów zawierał jej oszczędności i książki rachunkowe; znaleziono sumę dwustutysięcy franków, którą „biedna Savalette” zdołała zebrać... Żaden spadkobierca nigdy się nie zjawił, przeszłość jej do dziś dnia pozostaje ciemna.

Najbardziej zagadkowemi są listy miłosne, różnemi charakterami pisane i świadczące o wielkiej namietności, którą Savalette budzić umiała w mężczyznach...

Z korespondencji z oficerem Laciépère wynika, że Savalette swemu narzeczonemu często pieniądze pożyczala, których zwrotu żądała później. Z tego powodu wynikały sprzeczki i czasowe rozłąki.

W dzień ślubu Savalette miała wręczyć mu grubszą sumę. Ale nigdy do ślubu tego nie doszło. Czy Savalette bała się zdemaskowania? W ten sposób trzymała go przy sobie przez szesnaście lat! W jakim celu? Czy naprawdę zamierzała „wyjść zamaż” za Laciépère. Czy ten dowiedział się wkońcu o mistyfikacji? W listach bowiem nieraz wspomina, że „o wszystkim” wie, ale pytanie, co Savalette mogła mu powiedzieć?... Pewnego dnia Laciépère odbiera sobie życie.

Savalette uchodziła za „jego wdowę”, nosząc po nim grubą żałobę, co jej wcale nie przeszkadzało, jak z korespondencji wynika, otrzymywać listy miłosne z żądaniem „rendez-vous”.

Czy listy są wogóle prawdziwe? Czy ona sama nie fałszowała ich? Nikt nie wezwał za kulisy tajemniczej tej egzystencji. Pozostała psychologiczną zagadką.

Prawdziwa zaś Jenny Savalette, jak się później okazało, poznała w czasie ucieczki do Niemiec, młodego człowieka, który ją u-toczył opieką na okręcie, znalazł małe mieszkanie w Hamburgu, gdzie Jenny czekała daremnie wieści i pieniędzy od ojca.

Przyszła nędza. Ostatnie środki znikają, ostatni klejnot sprzedany. Wszystkiem się zajmuje młody człowiek, który jej narzucił swą opiekę. Zostaje wkońcu jego kochanką.

Po kilku latach piekielnego życia udaje się jej powrócić do kraju pod innym nazwiskiem. Zamierza wstąpić do klasztoru. Pragnie przeszłość wymazać z pamięci. Wychodzi jednak później zamaż za jakiegoś hrabiego w Paryżu i jest z nim bardzo szczęśliwa.

Aż zjawia się pewnego dnia żebraczka i nie daje się usunąć. Hrabina przyjmuje ją wkońcu. Nieznajoma podnosi woal...

„To ja jestem...!” Kochanek z krzyżowych dni hamburskich! Żąda opieki i wprowadzenia do towarzystwa, grożąc zdradzeniem jej przeszłości.

On nie ma nic do stracenia — ona wszystko...

W śmiertelnym strachu ulega, wprowadzając go w rojalistyczne sfery. I oto zaczyna się dla obojga życie pełne mistyfikacji.

Nadchodzi jednak chwila, kiedy hrabina odważa się jarzmo zrzucić. Towarzystwo zrywa z Savalette, który znika z widowni i niebawem umiera.

W papierach jego znaleziono nieznajomą ręką z boku czerwonym abramentem nagryzmolone: „Ludwik XVIII”. W narodzie długi czas uchodził za tego ostatniego. Niektórzy widzieli w nim polityczną osobistość wysokiej rangi, kryminalnego przestępcę, który pod tą maską się ukrywał, ofiarę rewolucji...

Nic jednak pewnego historia dotychczas o nim nie wie. Obie „Jenny Savalette” nie żyją. Wszelkie ślady się rozwiały między XVIII stuleciem a restauracją zamknęły się żelazne drzwi, za którymi nieskończenie wiele krwawych tajemnic się kryje i pytanie, czy kiedykolwiek historykom uda się zastony uchylić...

Tłum. Jotsaw.



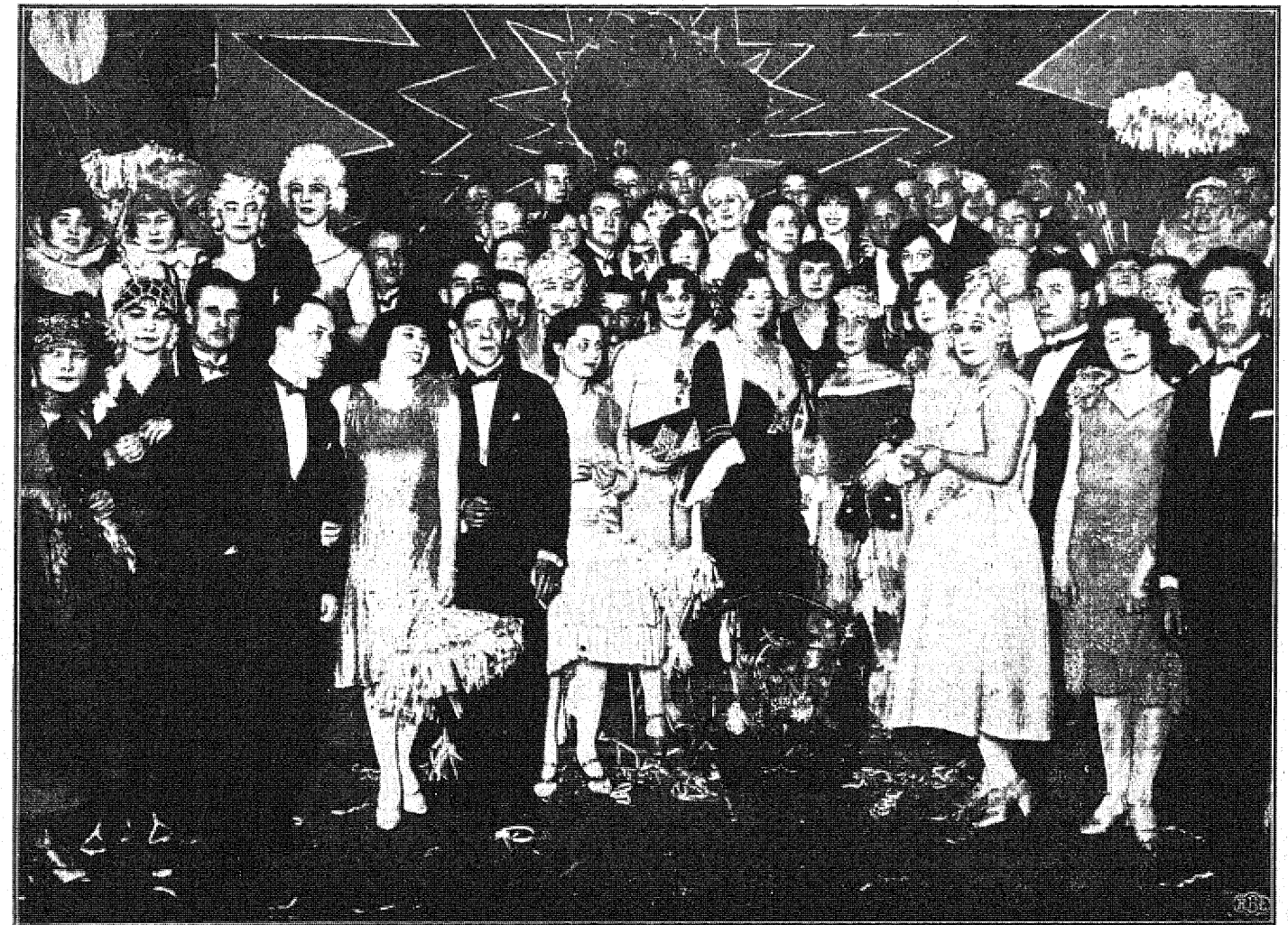
DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO”.

Rok V.

Łódź, dnia 19-go lutego 1928 roku.

Nr 8.

Bal artystów Teatru Miejskiego.



W dniu 9 lutego r. b. w salach Filharmonji odbył się bal artystów Teatru Miejskiego w Łodzi, w którym udział wzięła bawiąca w mieście naszym na gościnnych występach p. M. Cwiklińska (X), artystka scen teatrów polskich w Warszawie. Fot. A. Meyer